



Jerzy Surdykowski

PARADYGMAT

Paradygmat

Jerzy Surdykowski

PARADYGMAT

Wydawnictwo Austeria
Kraków · Budapeszt 2012

Przyjaciołom poznanym w biedzie

Autor

Przypadek jest pseudonimem Boga.

(Anatol France)

Bóg nie gra w kości.

(Albert Einstein)

Paradygmat – zbiór podstawowych pojęć i teorii obowiązujących w nauce w pewnym okresie historycznym. W oparciu o paradygmat konstruowane są teorie szczegółowe, którymi zajmują się poszczególne dziedziny wiedzy. Paradygmat nie podlega w pełni dowodowi, jest przyjęty na zasadzie konsensusu większości badaczy. Nie jest jednak dogmatem i po pewnym czasie – gdy przestaje być twórczy poznawczo – bywa stopniowo zastępowany innym paradygmatem, tak jak na przykład mechanika Newtona została zastąpiona teorią względności Einsteina.

(z encyklopedii)

WSTĘP

Samolot Swiss z Zurychu do Warszawy wzbił się w pochmurne niebo z niewielkim opóźnieniem spowodowanym długą kolejką maszyn różnych linii – tanich, droższych albo nawet bardzo drogich – oczekujących na pozwolenie wejścia na pas startowy. Potem już poszło rutynowo: airbus szybko oderwał się od betonu i ostro, prawie świecą pociągnął w górę. Taki start wygląda efektownie zarówno dla obserwatora z ziemi, jak i dla pasażerów samolotu: daje wszystkim zrozumiałą i nieodwołalną komunikat o umiejętnościach pilota i o potędze maszyny, nad którą on perfekcyjnie panuje. Kapitan tego rejsu był na tyle doświadczony, by o tym wiedzieć; ale dość jeszcze młody, by zachłystywać się przewrotną radością, gdy tylko nadarza się okazja do ewolucji. Na pewno nie regulaminowej i leżącej na samej granicy profesjonalizmu, ale rozgrzewającej serce. Tak więc pasażerowie – przepisowo przypięci i jeszcze do tego wtłoczeni przeciążeniem w głąb swoich foteli – właśnie wpatrywali się w szybko uciekający ku dołowi podalpejski krajobraz, kiedy w przedziale rozległ się łomot, ktoś zerwał się z miejsca, ale przeciążenie poplątało mu nogi i człowiek osunął się na kolana.

– Proszę natychmiast wrócić na miejsce i zapiąć pasy! – zdołała jeszcze regulaminowo krzyknąć stewardesa. Ale nim obie dziewczyny w uniformach zerwały się, by zastąpić drogę intruzowi gramolącemu się ku kabinnie pilotów, huknął strzał. Teraz wszyscy pasażerowie darli się histerycznie. Nad powszechną paniką górował tylko tubalny

głos innego jeszcze mężczyzny, który powstał ze swego miejsca gdzieś z tyłu, w środku klasy ekonomicznej:

– Na pokładzie jest bomba. Nic wam się nie stanie, jeśli będziecie siedzieć cicho i wykonacie nasze polecenia. W przeciwnym razie odpalamy i śmierć!

Kapitan – który pewnie już wiedział, o co chodzi – nadal ciągnął maszynę ostro w górę, co utrudniało ruchy porywaczom, ale przecież nie mogło trwać wiecznie. Ralph, siedząc w klasie business niedaleko kabiny pilotów, widział wszystko od początku: porywacze byli młodymi Europejczykami, takimi samymi jak każdy z nas na ulicy. Rozpoznał nawet broń, którą posłużył się pierwszy z nich: malutki, lecz wielkokalibrowy niby-pistolet, a może nawet miniaturowy granatnik z plastiku o wytrzymałości stali, bez miligrama metalu, a więc niewidoczny dla lotniskowych wykrywaczy. Takie cacko można wytworzyć tylko w jednym, jedynym laboratorium na świecie; tak przynajmniej przypuszczał. Specjalnie wzmocniony pocisk miał rozbić zamek pancernych drzwi kabiny pilotów, ale ostre przyśpieszenie sprawiło, że ręka porywacza chybiła; osmalona przestrzelina ziała w ścianie działowej, lecz rygle były całe. Teraz już dwóch złoczyńców dobijało się do wciąż niedostępnej kabiny:

– Otwierać, bo znowu zaczniemy strzelać!

– Widzę cię przez tę dziurę, skurwysynu! – darł się drugi. – Zaraz w ciebie walnę!

– Nie bój się – Ralph chwycił za rękę gramolącą się przejściem stewardesę. – Znam tę broń. Jest jednostrzałowa. Oni już nic nie mają. Jest szansa ratunku. Zawiadom kapitana.

– Nie gadać! – wrzasnął porywacz, ale teraz zamiast pistoletu trzymał w ręku sztylet o długim i matowym ostrzu. – Chodź tutaj, szybciej! – kiwnął na stewardesę, której Ralph właśnie wszeptał swój komunikat.

Ludzie nadal krzyczeli, pilot przerwał wznoszenie, maszyna zaczęła zataczać krąg. Przyśpieszenie już nie wgniatało w fotele, dlatego porywacz sprawnie chwycił stewardesę za długie, dziewczęce włosy, łapą zdusił wrzask, a potem podsunął jej mikrofon:

– Przedstaw się i powiedz kapitanowi, żeby otworzył drzwi!

Dziewczyna coś mamrotała w szpazmie przerażenia i bólu.

– Poznajesz tę ślicznotkę? – warknął do mikrofonu porywacz. – Jeśli w tej chwili nie otworzysz, zrobimy jej z buzi krwawy paszтет!

– Nie otwierasz? No to masz! – walnął głową dziewczyny o pancerne drzwi. Potem jeszcze i jeszcze raz. Buchnęła krew, wrzask przeszedł w rżenie. Jakiś mężczyzna zerwał się na pomoc maltretowanej, ale któryś z porywaczy był szybszy, wbił mu swój sztylet w żołądek. Pancerne drzwi nadal pozostawały zamknięte. Samolot najwyraźniej zamierzał lądować, bo zrzucił paliwo. Za oknami pojawiły się wojskowe myśliwce.

– Bomba! – darł się porywacz o tubalnym głosie. – Odpalamy! Wszyscy zginiecie w imię naszego wielkiego boga Baala!

– Allaha? – poniosło się po samolocie.

– Baala – powiedział Ralph do najbliższej siedzących. – Był taki bożek w starożytności. Nie przypuszczałem, że dzisiaj jeszcze ktoś w niego wierzy.

– Otwierać! – krzyczał do mikrofonu ten pierwszy. – Jeśli nie otworzycie, będziemy mordować jedną po drugiej! – chwycił następną stewardesę, przyłożył jej sztylet do gardła. – Proś go, jeśli nie otworzy to twoja kolej!

– Panie kapitanie! Otwórz, otwórz! – skamlała dziewczyna, ale samolot schodził już nad lotnisko, gdzie błyskały alarmowymi światłami samochody straży pożarnej i policji.

– Panie kapitanie! Uuu!!!

Porywacz przeciągnął jej ostrzem po gardle, bluznęła krew, wołanie przeszło w charkot.

– Wielki Baal zabiera nas stąd, ale wy zginiecie! Baal Hades, Baal Hadad! – krzyczał ten o tubalnym głosie, zabierając się do otwierania najbliższego wyjścia. Znał się na tym, widocznie porywacze trenowali warianty operacji, tylko pierwszy i najważniejszy element ich zawiódł. Do samolotu wdarł się pęd powietrza. Czciiciel Baala z przenikliwym okrzykiem wyskoczył z wysokości kilkudziesięciu metrów, potem następny i jeszcze jeden. Airbus dotknął kołami betonu. Wyły alarmowe syreny, jazgotały głośniki, migaly czerwone i niebieskie światła. Gdy do zatrzymującego się samolotu wpadł pluton zamaskowanych antyterrorystów, pierwsi wojacy poślizgnęli się na krwi i świeżych zwłokach. Potem już spokojnie i w miarę możliwości delikatnie wyprowadzali wciąż spazmujących pasażerów, otulali ich kocami, poili herbatą. Gdy ludzie zaczęli rozmawiać i wymieniać wrażenia, dominowało powszechne przekonanie, że porywacze chcieli użyć samolotu jako ży-

wej torpedy mającej zniszczyć... Tylko co? Centrum bankowe w Zurychu? Ktoś puścił pogłoskę, że mieli uderzyć w szczyt Matterhornu, by zdewastować najpiękniejszą górę Alp. Ktoś inny, że w gmach ONZ w Genewie. Dość, że miało być jak kiedyś w Nowym Jorku, ale przecież żyjemy! Przekłęci niech będą policjanci i inne nieroby z lotniska, bo uzbrojeni zbrodniarze znowu przeniknęli przez wzmocnione podobno kontrole! Pasażerowie, którzy widzieli ich z bliska, rozdzielili się oczywiście nad arabskimi rysami twarzy.

– Porwanie zostało udaremnione dzięki najwyższemu profesjonalizmowi naszej załogi – powiedział im potem dyrektor linii Swiss, sprowadzony z tak strasznej okazji na lotnisko. – Kapitana na pewno przedstawimy do odznaczenia.

– Przecież to potwór! – nie wytrzymał ktoś z pasażerów. – Z zimną krwią pozwolił okrutnie zamordować trzy osoby!

– W przeciwnym wypadku wszyscy państwo byłiby już tam... – dyrektor wzniósł oczy ku niebu.

– A co z porywaczami? Czy są w rękach policji?

– Popełnili samobójstwo. Skok z lądującego samolotu jest śmiertelny. To fanatycy islamscy.

Nikt nie prostował. Pomimo wszystko warto było żyć i oddychać. Teraz policja rozpoczęła przesłuchania kolejnych pasażerów.

– Jestem Therese Simli, obywatelka gminy Zurych – powiedziała ładna kobieta w średnim wieku o orientalnych rysach twarzy. Powiedziała to z naciskiem, nie czekając na pytanie policjanta.

– Nie urodziła się pani w naszym kraju? – w głosie funkcjonariusza już zabrzmiała profesjonalna podejrzliwość.

– Urodziłam się w Nowym Jorku. Proszę, tu są moje dokumenty – kobieta doskonale знаła reakcję mężczyzn na jej egzotyczną urodę; jeszcze dwadzieścia lat temu trochę ją to bawiło i podniecało. Teraz już zupełnie nie.

– Przepraszam, pani profesor – teraz policjant był stropiony, bo Therese podała mu plik dokumentów, a nie tylko swój szwajcarski paszport. – Przepraszam, mój syn jest pani studentem na wydziale filozoficznym. Powinienem był od razu wiedzieć... Muszę go spytać, czy wy filozofowie macie jakieś sensowne wyjaśnienie tego, co się tu stało.

– Jako filozof mogę pana zapewnić – powiedziała – że jestem tak samo przestraszona i zdenerwowana jak inni pasażerowie. Szukam nie

wyjaśnienia, ale apteki, żeby kupić coś na uspokojenie, tym więcej że czekała mnie dość daleka i ważna podróż w sprawach zawodowych.

Nim włożyła dokumenty do torebki i odeszła, usłyszała początek rozmowy policjanta z następnym pasażerem:

– Nazwisko?

– Empi.

– Obywatel Szwajcarii?

– Nie, Stanów Zjednoczonych.

– Przepraszam, nazwisko mnie zmyliło, takie szwajcarskie – powiedział policjant.

– To ja przepraszam. W paszporcie mam Ralph Emperson, jako Empi jestem znany w międzynarodowym środowisku naukowym. Tak jest łatwiej.

– A czym się pan zajmuje, profesorze?

– Obecnie astrofizyką... Leciałem na sympozjum do Warszawy, trzeba podciągać tych naszych nowych przyjaciół ze wschodniej Europy.

– *Fünfundzwanzig Professoren...* – mruknął pod nosem gliniarz.

Szwajcarska profesorka filozofii usłyszała to i zrozumiała, więc obejrzała się zgorziona. W ten sposób dopiero wtedy Ralph i Therese po raz pierwszy spojrzeli na siebie. Amerykanin czekał na pytanie o szepety skierowane do zmasakrowanej w chwilę później stewardesy, ale widocznie uszło to uwadze ludzi. Tak było lepiej, więc nie pytał nawet, czy dziewczyna przeżyła.

WSTĘP II

– Czego nas uczy Immanuel Kant? – Therese pytaniem rozpoczęła wykład. Swoim zwyczajem na początku omiatała spojrzeniem salę, gdzie jak zawsze pozostało sporo wolnych miejsc. Filozofia – zwłaszcza niemiecka jako pełna pojęć mętnych i wywodów zawikłanych – nie cieszy się teraz szczególną popularnością wśród studentów uniwersyteckich zapatrzonych w kierunki modne i popłatniejsze, ale Therese nie mogła narzekać: te parędziesiąt zgromadzonych osób to i tak wynik, którego zawsze zazdrościli jej wydziałowi koledzy, z konieczności zadowolający się znacznie skromniejszym audytorium i przez to skazani na bezustanną walkę z rektorem i jego urzędnikami, wyrażającymi przy każdej nadarzającej się okazji ochotę skasowania przynoszących tak mierne korzyści wykładów, a przez to i posad. Nie, Therese była wolna od tych małostkowych ataków uniwersyteckiej biurokracji, renoma jej zajęć przechodziła szeptaną pocztą z rocznika na rocznik, zapewniając to poczucie bezpieczeństwa, które – wedle tradycji – jest najlepszym gwarantem akademickiej wolności. Przecież to nie jej orientalna uroda przywiodła tu całkiem spore grono młodych ludzi, ale wiedza i ten szczególnie dar, który pozwala objaśniać to, co zawikłane. Co z tego, że w jej żyłach płynie krew azjatycka, albo jeszcze jakaś inna? Jej umysł był jasny, a serce czyste. W Szwajcarii jest obecny cały świat; oczywiście pod warunkiem, że ma pieniądze.